

CZESŁAW MIŁOSZ - WIERSZE



Miasto | Kraina poezji | Walc | Campo di Fiori | W Warszawie
Piosenka o końcu świata
Piosenka o porcelanie | Na śpiew ptaka nad brzegami Potomaku
W prajcach swoich pogrzebani
Na śmierć Tadeusza Borowskiego | Zakłęcie | Ars poetica?
Moja wierna mowa | Tak mało | Dar
Stwarzanie świata | Młodość | Sens | Który skrzywdziłeś | Jak powinno być w
niebie
Dwa wiersze
Rozmowa z Jeanne | Wiersz na koniec stulecia

Miasto

Nad ruinami wstaje dzień, wędrowny grajek pustym oknom gra,
Z głową na bok schyloną skoczne tony ze skrzypki wywodzi.
A w oknie tylko niebo, gołębi miga ćma,
I tak w tej rannej ciszy świat nowy się rodzi.

I wiatr, gdy struny drutów pękły, martwe drzwi otwiera,
Na których klamce dotąd pozostał niezmyty
Ślad ręki przypadłego bez wieści bohatera,
I toczy po pokoju dziewczyny zabitej
Szczesany z włosów puch.

A serce bije. Słuchaj. Jest w tym dziw nad dziwy,

Że ono trwa, gdy wszystkie oczy patrzą – nowe,
Że wygrzebaną spod cegieł pokrywy,
Stopioną w ogniu na drzwiach wieszają podkowę

Na inne szczęście. Słuchaj. I radość, i wstyd
Życ jeszcze raz, na nieobeszłej ziemi,
Powracać i ślubować, gdy zmarzły kasztan kwitł,
Winy dawne odkupić czynami lepszymi.

Bólu prawdziwy, sławo i niesławo,
Ty wielka, że godna jesteś jedynie milczenia,
Brzękiem słów pustych twego nie dotknie imienia,
Kto tęsknił, wie. Nie powie nic. Warszawo.

Poprzez węgierskie góry, sowieckie ugory
Szliśmy do ciebie. Znamy te noce nieludzkie,
Kiedy zgłodniałym oczom, przez otwarte chmury
Nie ty, lecz inne miasta jako stada judzkie
Jawiły się, skupione nad rzeką w dolinach.

Złych mocarstw świata były przed nami granice,
Krzywda ludzka i rozpacz, te same w innych śpiewały językach,
Wtwarz nam świeciły azjatyckie, zmęczone księżycy,
Lecz gdyśmy na siebie spojrzeli – twój wzrok nas spotykał.

O Bolesna. Na gruzach praskich grająca kapela,
Mosty w dymach i serce bijące – i to wszystko.
I los – jak niebo, kiedy się rozdziela
Linia ognistą.

Że po raz drugi kształt nam ludzki oblec dano
I witać światłem buchające wieki,
Ty, żyjący, nie pytaj tamtych, co to znaczy.
Z pól, gdzie hełmy im rdzawią topniejące śniegi,
Z barykad, z placów trawą zarosłych powstaną,
Życia twojego żaden ci z nich nie przebaczy.

Grajku poranny, komu ty tak grasz,
Tam są schody bez domu i piętra bez żywych.
– Tobie gram, najpiękniejsze z urojonych miast
I najsmutniejsze z prawdziwych.

1940

(Z tomiku "Ocalenie", 1945)

Kraina poezji

Do tej krainy idź ścieżkami tonów,
Z których się rodzą spokojne muzyki,
Granica dźwięków jeszcze niespełnionych,
Zaczętych tylko.

Jeżeli w noc czerwcową się rozlegnie
Brzęk, chrabąszcz w strunę u skrzypiec uderzy
Albo kot po klawiszach pazurkiem przebiegnie,
Możesz im wierzyć –
Idź, nim umilkną.

Do tej krainy – w Trzech Króli, wieczorem,
Gdy na kominie jasny ogień bucha
I rzędy rondli miedzianych oświetla,
A na ulicy śnieżnej tuż za domem
Huczy basetła.

Ledwo usypiasz, już przy tobie staje
Elf mały, z baśni zimowej norweskiej,
A wtedy miga niby baj po ścianie
Płomyk niebieski.

Stapacie cicho, żeby nie obudzić
Rodziców, którzy śpią w dębowym łożu,
1- w lot kominem! w ciemny świat i czar
Białego mrozu.

Lot, lot. Noc w górze cicha i gwiazdzista,
Wszronach na dole prześwituje sioło
I nagle wiosna. Na różowych listkach
Księżycy koło.

Do tej krainy – lecz jakąż jest ona,

Wybudowana gdzieś na zgasłych łonach,
Pożar ognistym mieczem wejścia strzeże,
Umarły gil ćwierka u jej bram,
Siedzą z głową na rękach polegli żołnierze,
Na miast ruinie rzędy lisich jam
I mlecz, i wrzos na zapomnianych schronach.

Tam śnieżna góra jest pienistą falą,
Co trwa sekundę na równinie mórz.
Nim w głąb upadnie, gdzie się perły palą,
Trzmiel z tulipana strząśnie żółty kurz.
Nim nowa fala, księżycem zwabiona,
Klęknie i czoło powoli podźwignie,
Tysiącolecie ludzkie jedno skona,
A trzmiel w kielichu tulipana zniknie.

Do tej krainy przyjmij zaproszenie,
Nie pytaj, jak się dziś ona nazywa,
Wiesz, przez jak gorzkie tam idzie się ciernie.
Czy jest szczęśliwa? Nie wiem, czy szczęśliwa.
Jak pióro strzały, która pierś przebiła,
Drga, błyszczący w słońcu i barwy przybiera –
Z bólem na zawsze ta ziemia złączona
I tylko smutek jej bramy otwiera.

Jeżeliś klęski zaznał, dosięgł lat
Dojrzałych, patrząc na gruzy i zgliszcza,
I spustoszyła myśli twe jak wiatr
Litość najczystsza,

Jeżeliś nie chciał mówić odtąd nic,
Bo zapytałeś – po co, czy to warto
Straszliwy posąg, skamieniały krzyż
Ubierać farbą,

To wiedz, że ona blisko, żeś jest tuż.
I jeśli mówisz: żegnaj mi na wieki –
Witaj odpowie echo z ziemskich puszczy,
Wstydliva czułość obmyje powieki
I każde dawne pożegnania słowo
Jest jak świtania dalekiego wstążka,

Rosa o brzasku, czeremchy gałązka,
A gdyś opłakał ją – ona przed tobą.
1942

(Z tomiku "Ocalenie", 1945)

Walc

Już lustra dźwięk walca powoli obraca
I świecznik kołując odpływa w głąb sal.
I patrz: sto świeczników we mgłach się zatacza,
Sto luster odbija snujący się bal.

I pyły różowe jak płatki jabłoni,
I skry, słoneczniki chwiejących się trąb.
Rozpięte szeroko jak krzyże w agonii
Szkło ramion, czerń ramion, biel ramion i rąk.

I krążą w zmrużone swe oczy wpatrzeni,
A jedwab szeleści o nagość, ach cyt...
I pióra, i perły w huczącej przestrzeni,
I szepty, wołanie i zawrót, i rytm.

Rok dziewięćset dziesięć. Już biją zegary,
Lat cicho w klepsydrach przesącza się piach.
Aż przyjdzie czas gniewu, dopełnią się miary
I krzakiem ognistym śmierć stanie we drzwiach.

A gdzieś tam daleko poeta się rodzi.
Nie dla nich, nie dla nich napisze ich pieśń.
Do chat drogą mleczną noc letnią podchodzi
I psami w olszynach zanoszą się wieś.

Choć nie ma go jeszcze i gdzieś kiedyś będzie,
Ty, piękna, nie wiedząc kołyszysz się z nim.
I będziesz tak tańczyć na zawsze w legendzie,
W ból wojen wplątana, w trzask bitew i dym.

To on, wynurzony z odmętu historii,

Tak szepce ci w ucho i mówi: no patrz.
A czoło ma w smutku, w dalekich lat glorii
I nie wiesz, czy śpiewa tak walc, czy twój płacz.

Stań tutaj przy oknie i uchyl zasłony,
Wolśnieniu, widzeniu, na obcy spójrz świat.
Walc pełza tu liśćmi złotymi stłumiony
I w szyby zamiecią zimowy dmie wiatr.

*Lodowe pole w brzasku żółtej zorzy
Wnagle rozdartej nocy się otworzy,
Tłumy biegnące wśród śmiertelnej wrzawy,
Której nie słyszysz, odgadujesz z ust.*

*Do granic nieba sięgające pole
Wre morderstwami, krew śniegi rumieni,
Na ciała skrzepłe w spokoju kamieni
Dymiące słońce rzuca ranny kurz.*

*Jest rzeka na wpół lodami przykryta
I niewolnicze na brzegach pochody,
Nad siną chmurę, ponad czarne wody
W czerwonym słońcu, błysk bata.*

*Tam, w tym pochodzie, w milczącym szeregu,
Patrz, to twój syn. Policzek przecięty
Krwawi, on idzie, małpio uśmiechnięty,
Krzycz! W niewolnictwie szczęśliwy.*

*Rozumiesz. Jest taka cierpienia granica,
Za którą się uśmiech pogodny zaczyna,
I mija tak człowiek, i już zapomina,
O co miał walczyć i po co.*

*Jest takie olśnienie w bydlęcym spokoju,
Gdy patrzy na chmury i gwiazdy, i zorze,
Choć inni umarli, on umrzeć nie może
I wtedy powoli umiera.*

Zapomnij. Nic nie ma prócz jasnej tej sali
I walca, i kwiatów, i świateł, i ech.
Świeczników sto w lustrach kołysząc się pali,
I oczy, i usta, i wrzawa, i śmiech.

Naprawdę po ciebie nie sięga dłoń żadna,
Przed lustrem na palcach unosząc się stań.
Na dworze jutrzienka i gwiazda poranna,
I dzwonią wesoło dzwoneczki u sań.
(Warszawa, 1942)

(Z tomiku "Ocalenie", 1945)

Campo di Fiori

WRzymie na Campo di Fiori
Kosze oliwek i cytryn,
Bruk opryskany winem
I odłamkami kwiatów.
Różowe owoce morza
Sypią na stoły przekupnie,
Naręcza ciemnych winogron
Padają na puch brzoskwini.

Tu na tym właśnie placu
Spalono Giordana Bruna,
Kat płomień stosu zażegnał
Wkole ciekawej gawiedzi.
A ledwo płomień przygasnął,
Znów pełne były tawerny,
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli przekupnie na głowach.

Wspomniałem Campo di Fiori
WWarszawie przy karuzeli,
Wpogodny wieczór wiosenny,
Przy dźwiękach skocznej muzyki,
Salwy za murem getta
Głuszyła skoczna melodia
I wlatywały pary
Wysoko w pogodne niebo.

Czasem wiatr z domów płonących

Przynosił czarne latawce,
Łapali płatki w powietrzu
Jadący na karuzeli.
Rozwiewał suknie dziewczynom
Ten wiatr od domów płonących,
Śmiały się tłumy wesołe
Wczas pięknej warszawskiej niedzieli.

Morał ktoś może wyczyta,
Że lud warszawski czy rzymski
Handluje, bawi się, kocha
Mijając męczeńskie stosy.
Inny ktoś morał wyczyta
O rzeczy ludzkich mijaniu,
O zapomnieniu, co rośnie,
Nim jeszcze płomień przygasnął.

Ja jednak wtedy myślałem
O samotności ginących.
O tym, że kiedy Giordano
Wstępował na rusztowanie,
Nie znalazł w ludzkim języku
Ani jednego wyrazu,
Aby nim ludzkość pożegnać,
Tę ludzkość, która zostaje.

Już biegli wychylać wino,
Sprzedawać białe rozgwiazdy,
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli w wesołym gwarze
I był już od nich odległy,
Jakby minęły wieki,
A oni chwilę czekali
Na jego odlot w pożarze.

I ci ginący, samotni,
Już zapomniani od świata,
Język ich stał się nam obcy
Jak język dawnej planety.
Aż wszystko będzie legendą
I wtedy po wielu latach

Na nowym Campo di Fiori
Bunt wznieci słowo poety.
(Warszawa, 1943)

(Z tomiku "Ocalenie", 1945)

W Warszawie

Co czynisz na gruzach katedry
Świętego Jana, poeto,
W ten ciepły, wiosenny dzień?

Co myślisz tutaj, gdzie wiatr
Od Wisły wiejąc rozwiewa
Czerwony pył rumowiska?

Przysięgałeś, że nigdy nie będziesz
Płaczką żalobną.
Przysięgałeś, że nigdy nie dotkniesz
Ran wielkich swego narodu,
Aby nie zmienić ich w świętość,
Przeklętą świętość, co ściga
Przez dalsze wieki potomnych.

Ale ten płacz Antygony,
Co szuka swojego brata,
To jest zaiste nad miarę
Wytrzymałości. A serce
To kamień, w którym jak owad
Zamknięta jest ciemna miłość
Najnieszczęśliwszej ziemi.

Nie chciałem kochać tak,
Nie było to moim zamiarem.
Nie chciałem litować się tak,
Nie było to moim zamiarem.
Moje pióro jest lżejsze
Niż pióro kolibra. To brzemię
Nie jest na moje siły.

Jakże mam mieszkać w tym kraju.
Gdzie noga potrąca o kości
Niepogrzebane najbliższych?
Słyszę głosy, widzę uśmiechy. Nie mogę
Nic napisać, bo pięcioro rąk
Chwyta mi moje pióro
I każe pisać ich dzieje,
Dzieje ich życia i śmierci.
Czyż na to jestem stworzony,
By zostać płaczką żałobną?

Ja chcę opiewać festyny,
Radosne gaje, do których
Wprowadzał mnie Szekspir. Zostawcie
Poetom chwilę radości,
Bo zginie wasz świat.

Szaleństwo tak żyć bez uśmiechu
I dwa powtarzać wyrazy,
Zwrócone do was, umarli,
Do was, których udziałem
Miało być wesele
Czynów, myśli i ciała, pieśni, uczt.
Dwa ocalone wyrazy:
Prawda i sprawiedliwość.
(1945)

(Z tomiku "Ocalenie", 1945)

Piosenka o końcu świata

Wdzień końca świata
Pszczoła krąży nad kwiatem nasturcji,
Rybak naprawia błyszczącą sieć,
Skaczą w morzu wesołe delfiny,
Młode wróble czepiają się rynny
1 wąż ma złotą skórę, jak powinien mieć.

Wdzień końca świata

Kobiety idą polem pod parasolkami,
Pijak zasypia na brzegu trawnika,
Nawoľują na ulicy sprzedawcy warzywa
I łódka z żółtym żaglem do wyspy podpływa,
Dźwięk skrzypiec w powietrzu trwa
I noc gwiaździstą odmyka.

A którzy czekali błyskawic i gromów,
Są zawiedzeni.
A którzy czekali znaków i archanielskich trąb,
Nie wierzą, że staje się już.
Dopóki słońce i księżyc są w górze,
Dopóki trzmiel nawiedza różę,
Dopóki dzieci różowe się rodzą,
Nikt nie wierzy, że staje się już.

Tylko siwy staruszek, który byłby prorokiem,
Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie,
Powiada przewiązując pomidory:
Innego końca świata nie będzie,
Innego końca świata nie będzie.

(Z tomiku "Ocalenie", 1945)

Piosenka o porcelanie

Różowe moje spodeczki,
Kwieciste filiżanki,
Leżące na brzegu rzeczki
Tam kędy przeszły tanki.
Wietrzyk nad wami polata,
Puchy z pierzyny roni.
Na czarny ślad opada
Złamanej cień jabłoni.
Ziemia, gdzie spojrzysz, zasłana
Bryzgami kručzej piany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Zaledwie wstanie jutrzeńka
Ponad widnokrąg płaski
Słychać gdzie ziemia stęka
Małych spodeczków trzaski.
Sny majstrów drogocenne,
Pióra zamarzłych łabędzi
Idą w ruczaje podziemne
I żadnej o nich pamięci.
Więc ledwo zerwę się z rana
Mijam to zadumany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Równina do brzegu słońca
Miazgą skorupki pokryta.
Ich warstwa rześko chrupiąca
Pod moimi butami zgrzyta.
O świecidełka wy płone
Co radowałyście barwą
Teraz ach zaplamione
Brzydką zakrzepłą farbą.
Leżą na świeżych kurhanach
Uszka i denka i dzbany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.
(Waszyngton, 1949)

(Z tomiku "Światło dzienne", 1953)

Na śpiew ptaka nad brzegami Potomaku

Kiedy zakwita magnoliowe drzewo
I park zielonym zmaça się obłokiem,
Słyszę twój śpiew nad brzegiem Potomaku
Wuśpione płatkami wiśniowymi wieczory.
Wybacz mi, proszę, brak tego wzruszenia,
Które prowadzi przemocą z powrotem
W miejsca i wiosny dawno zapomniane,
Aby maluczkich uwodził poeta

Patriotycznym sentymentem, serce
Cisnął stęsknione i farbując łyzy
Mieszał dzieciństwo, młodość, okolice.
Mnie to niemiłe. Po cóż mi wspominać
Żółte od liści młodziutkich Ponary,
Zapach wilczego łyka migdałowy,
Echa po lasach od wrzasku cietrzewi?
Po cóż mi znowu iść w te ciemne sale
Gimnazjum króla Zygmunta Augusta
Albo o sosny potrać biczyskiem
Na drodze z Jaszun, jak ongi Słowacki?
Nad Mereczanką nasze to zabawy
Były, czy dworzan króla Władysława,
Nasze miłości i nasze rozstania
Czy też miłości z pieśni Filomatów,
Już nie pamiętam. Ptaku, wdzięczny ptaku,
Ty, który dzisiaj śpiewasz mi to samo
Co słyszał tutaj indyjski myśliwy
Stojący z łukiem na ścieżce jeleni,
Cóż możesz wiedzieć o zmianie pokoleń
I o następstwie form w ciągu jednego
Ludzkiego życia? Tamte moje ślady
Zatarł nie tylko pęd zim i jesieni.
Ja byłem świadkiem nieszczęść, wiem co znaczy
Życie oszukać kolorem pamiątek.
Radośnie słucham twoich ślicznych nut
Na wielkiej, wiosną odnowionej ziemi.
Mój dom sekunda: w niej świata początek.
Śpiewaj! Na perłę popielatych wód
Syp rosę pieśni z brzegów Potomaku!
(Waszyngton, 1947)

(Z tomiku "Światło dzienne", 1953)

W praojcach swoich pogrzebani

des nobles insensés
Ensevelis dans leurs ancêtres ¹
André Chénier

Przeegrali dom swój. Śnieg zawiął granice,
Od Petersburga szły z piszczałką roty.
I azjatycki koń wszedł w ich stolicę.
Na pikach stygła krew gniewnej hołoty.

Powstali w boju, przegrali powstanie
Bo ludu swego w porę się ulękli.
Wiatr gnał ich w śniegi, niósł po oceanie
I śnił się nocą blask wisielczej pętli.

Car im na przekór chłopów oswobodził.
Pieniądz zbudował kuźnie i warsztaty.
Półnagi bandos do fabryk uchodził
I w obce kraje biegł od kurnej chaty.

Znów mieli państwo, ale krótko trwało.
Konie ułańskie pęsały w paradzie.
Zmienili w chwałbę co mogło być chwałą.
I cień i śmierć na dziejach im się kładzie.

Moskal czołgami wjechał w gruzy miasta,
Prawa im dawał i wkładał obrożę.
Prowincja nowa w Imperium już wrasta
Niosąc w daninie węgiel, tłuszcz i zboże.

Przeklina lud, a białzy mu śpiewają
Że nigdy nie był tak jak dzisiaj wolny.
I szuka znaków co się w niebie palą:
Pokój służalstwa? Czy zagłada wojny?

Oni tymczasem, drżąc w jaskiniach cieni,
Sądzą, nie wiedząc że już osądzeni.
Przyp.1: d e s n o b 1 e s i n s e n s e s ... (franc.) – szlachta
nierozumna, zapatrzona w swoich przodków.

(Z tomiku "Światło dzienne", 1953)

Na śmierć Tadeusza Borowskiego

Borowski zdradził. Uciekł tam gdzie mógł.
Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,
Za sobą mury polskie Ciemnogrodu.
Co może wtedy człowiek? Drobnny stuk
Serca tak mało znaczy. Więzień Oświęcimia

Szczęśliwszy był, kiedy w podarku niósł
Mitigal, siarkę swojej ukochanej.
Naga, w gorączce, ranami okryta,
On klękał przy niej, zawsze takiej samej
Dla miłujących oczu. A nad nimi trwał
Dym ludzki, czarna rzeka, dym nad Birkenau.

Ludzi ocalić. Dać im niebo czyste
I ład na ziemi. Dać im umysł jasny.
Nad kraj ubogi, nad Wartę i Wisłę
Wznieść łuki świateł i strzec, by nie zgasły.
Ludzi ocalić. I za to marzenie
Jest obrachunek. Sztylet był zatruty
Mówi kronikarz. Wchodził między cienie
Od jadu żmii, od ziarna cykuty,
I Majakowski. Noc, do siebie strzela.
I nie masz, nie masz wtedy przyjaciela.

Więc gaz otworzył i twarzą do ściany
Odwrócił się i w mroczne wieki minął.
Toczyły śnieżną pianę oceany,
Obłok pod księżyc piór białość rozwinął.
Milcząca trwała gładka ściana Wschodu
I śmiech się zerwał w murach Ciemnogrodu.

(Z tomiku "Światło dzienne", 1953)

Zaklęcie

Piękny jest ludzki rozum i niezwycony.
Ani krata, ni drut, ni oddanie książek na przemiał,
Ani wyrok banicji nie mogą nic przeciw niemu.
On ustanawia w języku powszechne idee

I prowadzi nam rękę, więc piszemy z wielkiej litery
Prawda i Sprawiedliwość, a z małej kłamstwo i krzywda.
On ponad to, co jest, wynosi, co być powinno,
Nieprzyjaciel rozpaczy, przyjaciel nadziei.
On nie zna Żyda ni Greka, niewolnika ni pana,
Wzrząd oddając nam wspólne gospodarstwo świata.
On z plugawego zgiełku dręczonych wyrazów
Ocala zdania surowe i jasne.
On mówi nam, że wszystko jest ciągle nowe pod słońcem,
Otwiera dłoń zakrzepłą tego, co już było
Piękna i bardzo młoda jest Filo-Sofija

I sprzymierzona z nią poezja w służbie Dobrego.
Natura ledwo wczoraj święciła ich narodziny,
Wiść o tym górom przyniosły jednorożec i echo.
Sławna będzie ich przyjaźń, ich czas nie ma granic.
Ich wrogowie wydali siebie na zniszczenie.

(Z tomiku "Miasto bez imienia", 1969)

Sposób

Tak wrażliwy na zapach szpitali i koszar, na nieodwołalność poniżenia
Że powinien bym był spędzić życie w korkowej celi, szczękając
zębami
Od nieznanomych przodków dostałem rozwagę i upór, więc wynalazłem
sposób
Rytmiczne kołysanie słów układanych, powtarzanych na ulicy,
w autobusie, w barach, na drogach
A tym bardziej w półśnie rannych godzin, kiedy świadomość wynurza
się jak diabelska góra
Ale umiałem to robić tylko po polsku, w języku, którego nikt nie
rozumie, chyba twardogłowi zawodowcy stadionu w Wabash albo
Milwaukee

I gdybym mógł nie mówić, nie mówiłbym nic, bo nie było mi obojętne
że zwracam się do nikogo.

(Z tomiku "Miasto bez imienia", 1969)

Ars poetica?

Zawsze tęskniłem do formy bardziej pojemnej,
która nie byłaby zanadto poezją ani zanadto prozą
i pozwoliłaby się porozumieć nie narażając nikogo,
autora ni czytelnika, na męki wyższego rzędu.

W samej istocie poezji jest coś nieprzystojnego:
powstaje z nas rzecz, o której nie wiedzieliśmy, że w nas jest,
więc mrugamy oczami, jakby wyskoczył z nas tygrys
i stał w świetle, ogonem bijąc się po bokach.

Dlatego słusznie się mówi, że dyktuje poezję dajmonion,
choć przesadza się utrzymując, że jest na pewno aniołem.
Trudno pojąć, skąd się bierze ta duma poetów,
jeżeli wstyd im nieraz, że widać ich słabość.

Jaki rozumny człowiek zechce być państwem demonów,
które rządzą nim jak u siebie, przemawiają mnóstwem języków,
a jakby nie dosyć im było skraść jego usta i rękę
próbują dla swojej wygody zmieniać jego los?

Ponieważ co chorobliwe jest dzisiaj cenione,
ktoś może myśleć, że tylko żartuję
albo że wynalazłem jeszcze jeden sposób,
żeby wychwalać Sztukę z pomocą ironii.

Był czas, kiedy czytano tylko mądre książki
pomagające znosić ból oraz nieszczęście.
To jednak nie to samo, co zaglądać w tysiąc
dzieł pochodzących prosto z psychiatrycznej kliniki.

A przecie świat jest inny niż się nam wydaje
i my jesteśmy inni niż w naszym bredzeniu.
Ludzie więc zachowują milczącą uczciwość,
tak zyskując szacunek krewnych i sąsiadów.

Ten pożytek z poezji, że nam przypomina
jak trudno jest pozostać tą samą osobą,

bo dom nasz jest otwarty, we drzwiach nie ma klucza
a niewidzialni goście wchodzą i wychodzą.

Co tutaj opowiadam, poezją, zgoda, nie jest.
Bo wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie,
pod nieznośnym przymusem i tylko z nadzieją,
że dobre, nie złe duchy mają w nas instrument.

(Z tomiku "Miasto bez imienia", 1969)

Moja wierna mowo

Moja wierna mowo,
służyłem tobie.
Co noc stawiałem przed tobą miseczki z kolorami,

żebyś miała i brzozę i konika polnego i gila
zachowanych w mojej pamięci.

Trwało to dużo lat.
Byłaś moją ojczyzną bo zabrakło innej.

Myślałem że będziesz także pośredniczką
pomiędzy mną i dobrymi ludźmi,
choćby ich było dwudziestu, dziesięciu,
albo nie urodzili się jeszcze.

Teraz przyznaję się do zwątpienia.
Są chwile kiedy wydaje się że zmarnowałem życie.
Bo ty jesteś mową upodlonych,
mową nierozumnych i nienawidzących
siebie bardziej może niż innych narodów,
mową konfidentów,
mową pomieszanych,
chorych na własną niewinność.

Ale bez ciebie kim jestem.
Tylko szkolarzem gdzieś w odległym kraju,
a success, bez lęku i poniżeń.

No tak, kim jestem bez ciebie.
Filozofem takim jak każdy.

Rozumiem, to ma być moje wychowanie:
gloria indywidualności odjęta,
Grzesznikowi z moralitetu
czerwony dywan podścieła Wielki Chwał,
a w tym samym czasie latarnia magiczna
rzuca na płótno obrazy ludzkiej i boskiej udręki.

Moja wierna mowo,
może to jednak ja muszę ciebie ratować.
Więc będę dalej stawiać przed tobą miseczki z kolorami
jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe,
bo w nieszczęściu potrzebny jakiś ład czy piękno.

(Z tomiku "Miasto bez imienia", 1969)

Tak mało

Tak mało powiedziałem.
Krótkie dni.
Krótkie dni,

Krótkie noce,
Krótkie lata.

Tak mało powiedziałem,
Nie zdążyłem.

Serce moje zmęczyło się
Zachwytem,
Rozpaczą,
Gorliwością,
Nadzieją.

Paszczą lewiatana
Zamyka się na mnie.

Nagi leżałem na brzegach
Bezludnych wysp.

Porwał mnie w otchłań ze sobą
Biały wieloryb świata.

I teraz nie wiem,
Co było prawdziwe.

*(Z tomiku "Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada",
1974)*

Dar

Dzień taki szczęśliwy,
Mgła opadła wczesnie, pracowałem w ogrodzie.
Kolibry przystawały nad kwiatem kaprifolium.
Nie było na ziemi rzeczy, którą chciałbym mieć.
Nie znałem nikogo, komu warto byłoby zazdrościć.
Co przydarzyło się złego zapomniałem.
Nie wstydziałem się myśleć, że byłem, kim jestem.
Nie czułem w ciele żadnego bólu.
Prostując się, widziałem niebieskie morze i żagle.

*(Z tomiku "Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada",
1974)*

Stwarzanie świata

Niebianie w Biurze Projektów wybuchają śmiechem,
Bo jeden z nich narysował jeża.
Inny, żeby nie zostać w tyle, śpiewaczkę soprano –
Rzęsy, biust, loki, dużo loków.

Jest to wspaniała zabawa w oceanie musującej energii,
Wśród klasków, wyładowań zapowiadających elektryczność.
Bulgocą kubły groto-farby, groto-pędzle pracują,
Potężny wir niemalże galaktyk za prawie-oknami

I nie doświadczająca chmur czysta jasność.

Dmą w konchy, koziołkują w niby-przestrzeni,
W swoim kraju archetypów, siódmym niebie.
Ziemia już prawie gotowa, jej rzeki błyszczą,
Bory ją porastają, i każde stworzenie z osobna
Czeka na swoją nazwę, i grom przechadza się
Stronami, a stada w trawach nie podnoszą głowy.

Wyistoczą się miasta, wąskie ulice,
Nocnik wylewany z okna, bielizna.
I zaraz autostrady na lotnisko,
Pomnik na skrzyżowaniu, park, stadion,
Dla tysięcy kiedy wstają i ryczą: gola!

Wynaleźć długość, szerokość, wysokość,
Dwa razy dwa i siłę ciężenia,
To i tak dosyć, a tu jeszcze: majtki
Z koronką, hipopotam, dziób tukana,
Okropnymi zębami jeżący się pas cnoty,
Ryba młot, nisko sklepiony hełm,
No i czas, to jest podział na będzie i było.

Gloria, gloria śpiewają istniejące rzeczy.
To słysząc, Mozart siada za piano forte
I komponuje muzykę, która już była gotowa
Wcześniej niż on sam urodził się w Salzburgu.
Gdyby tylko to wszystko trwało. Ale gdzież tam.
Mieni się, mija, krąży w bańce mydlanej
Razem z inwokacją Niebian do śmiertelnych:

"O lekkie plemię, jakże się nad tobą nie litować!
Twoje kolorowe szmaty, twoje tańce,
Niby to wyuzdane a tylko żałosne,
Lustra w których zostaje twarz z kolczykami,
Malowane powieki, rzęsy ułudne.
Tak nie mieć nic prócz miłosnego święta!
Jaka słaba obrona przeciw otchłani!"

A słońce wschodzi i słońce zachodzi.
A słońce wschodzi i słońce zachodzi.

Kiedy oni biegają, biegają.

(Z tomiku "Dalsze okolice", 1991)

Młodość

Twoja nieszczęśliwa i głupia młodość.
Twoje przybycie z prowincji do miasta.
Zapotniałe szyby tramwajów, ruchliwa nędza w tłumie.
Przerażenie kiedy wszedłeś do lokalu, który dla ciebie za drogi.
Ale wszystko za drogie. Za wysokie.
Ci tutaj muszą spostrzec twoje nieobycie
I niemodne ubranie i niezgrabność.
Nie było nikogo, kto by przy tobie stanął i powiedział:

- Jesteś ładnym chłopcem,
Jesteś silny i zdrow,
Twoje nieszczęścia są urojone.

Nie zazdrościłbyś tenorowi w palcie z wielbłądziej wełny,
Gdybyś znał jego strach i wiedział, jak zginie.

Ruda, z powodu której przeżywasz męki,
Tak wydaje ci się piękna, jest lalką w ogniu,
Nie rozumiesz, co krzyczy ustami pajaca.

Kształt kapeluszy, krój Bukiem, twarze w lustrach
Będziesz pamiętać niejasno, jak coś co było dawno
Albo zostaje ze snu.

Dom, do którego zbliżasz się z drżeniem,
Apartament, który ciebie olśniewa,
Patrz, na tym miejscu dźwigi uprzątają gruz.

Ty z kolei będziesz mieć, posiadać, zabezpieczać,
Mogąc wreszcie być dumny, kiedy nie ma z czego.

Spełnią się twoje życzenia, obrócisz się wtedy
Ku czasowi utkanemu z dymu i mgły.

Ku mieniającej się tkaninie jednodniowych żywotów,
Która faluje, wznosi się i opada jak niezmiennie morze.

Książki, które czytałeś, nie będą więcej potrzebne,
Szukałeś odpowiedzi, żyłeś bez odpowiedzi.

Będziesz iść ulicami jarzących się stolic południa
Przywrócony twoim początkom, widząc w zachwyceniu
Biel ogrodu, kiedy w nocy spadł pierwszy śnieg.

(Z tomiku "Dalsze okolice", 1991)

Sens

– Kiedy umrę, zobaczę podszewkę świata.
Drugą stronę, za ptakiem, górą i zachodem słońca.
Wzywające odczytania prawdziwe znaczenie.
Co nie zgadzało się, będzie się zgadzało.
Co było niepojęte, będzie pojęte.

– A jeżeli nie ma podszewki świata?
Jeżeli drozd na gałęzi nie jest wcale znakiem
Tylko drozdem na gałęzi, jeżeli dzień i noc
Następują po sobie nie dbając o sens
I nie ma nic na ziemi, prócz tej ziemi?

Gdyby tak było, to jednak zostanie
Słowo raz obudzone przez nietrwałe usta,
Które biegnie i biegnie, poseł niestrudzony,
Na międzygwiazdne pola, w kołowrót galaktyk
I protestuje, woła, krzyczy.

(Z tomiku "Dalsze okolice", 1991)

Który skrzywdziłeś

Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,

Choćby przed tobą wszyscy się skłonili
Cnotę i mądrość tobie przypisując,
Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi że jeszcze jeden dzień przeżyli,

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy
I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta.
(Waszyngton, 1950)

(Z tomiku "Światło dzienne", 1953)

Jak powinno być w niebie

Jak powinno być w niebie wiem, bo tam bywałem.
U jego rzeki. Słyszac jego ptaki.
Wjego sezonie: latem, zaraz po wschodzie słońca.
Zrywałem się i biegłem do moich tysięcznych prac,
A ogród był nadziemski, dany wyobraźni.
Życie spędziłem układając rytmiczne zaklęcia,
Tego co ze mną się działo nie bardzo świadomy
Ale dążąc, ścigając bez ustanku
Nazwę i formę. Myślę, że ruch krwi
Tam powinien być dalej triumfalnym ruchem
Wyższego, że tak powiem, stopnia. Że zapach lewkonii
I nasturcja i pszczoła i buczący trzmiel,
Czy sama ich esencja, mocniejsza niż tutaj,
Muszą tak samo wzywać do sedna, w sam środek
Za labiryntem rzeczy. Bo jakżeby umysł
Mógł zaprzestać pogoni, od Nieskończonego
Biorąc oczarowanie, dziwność, obietnicę?

Ale gdzie będzie ona, droga nam śmiertelność?
Gdzie czas, który nas niszczy i razem ocala?
To już za trudne dla mnie. Pokój wieczny
Nie mógłby mieć poranków i wieczorów.
A to już dostatecznie mówi przeciw niemu.
I zęby sobie na tym połamie teolog.

(Z tomiku "Kroniki", 1987)